

MACIEJ CZERNIAK

# LUDZIE Z MIASTA



MAFIJNA EGZEKUCJA, WIELKIE INTERESY I KORUPCJA...  
CZY GLINA Z PRZESZŁOŚCIĄ ROZBIJE LOKALNY UKŁAD?

LIRA  
WYDAWNICTWO

**LUDZIE  
Z MIASTA**



MACIEJ CZERNIAK

# LUDZIE Z MIASTA

LIRA  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66966-08-6

*Sylwii, Alkowi, Antkowi*



CZĘŚĆ PIERWSZA  
ŚMIERĆ



## ROZDZIAŁ I. ROK 1999

Komisarz Andrzej Kostrzewa, szef Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Mieście, wpatrywał się w zakrwawiony kołnierz. Wiatr zdążył osuszyć tkaninę. Plama, przedtem soczyście malinowa, zmieniła odcień na brunatny. Wzrokiem omijał okolice głowy. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Zresztą już w drodze na miejsce zbrodni czuł delikatne skurcze żołądka.

— Egzekucja — powiedział starszy aspirant Rafał Olbratowski, który właśnie podszedł do komisarza. Kostrzewa zastanawiał się, czy w głosie policjanta słyszy tylko pewność, czy może też rodzaj satysfakcji. Po latach roboty tak się już ma. Empatia z czasem gdzieś ulatuje. Później chodzi już tylko o to, żeby umieć ukrywać ten postępujący zanik uczuć wyższych. Zachować to płowięjące przeświadczenie, że jeszcze jest się człowiekiem.

Kostrzewa obrócił się na pięcie, ciągle trwając w przysiadzie nad zwłokami. Z tyłu krzatali się technicy.

— Panie komisarzu, on uciekał. Kolejne ślady krwi są tam. — Policjant o lekko zezującym spojrzeniu, ale posturze godnej boksera wagi ciężkiej, wskazał za siebie.

W odległości dwóch, może trzech metrów w słabym snopie światła pobliskiej latarni i błyskach kogutów policyjnego radiowozu widniała zamarzająca na betonie ciemnoczerwona plama.

Kostrzewa wstał, rozprostowując ścierpnięte kolana. Nie odrywając wzroku od krwi, sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął paczkę czerwonych marlboro.

— A to? — zapytał Olbratowskiego. Gliniarz odwrócił się, podążając wzrokiem za ręką komisarza. W miejscu, które ten wskazywał, widać było ślady palonej gumy. Czarną smugę długości około pięciu metrów stopniowo pokrywały płatki śniegu. Duże, ciężkie i powolne jak październikowe muchy. Olbratowski ruszył za komisarzem w kierunku śladów.

Kostrzewa stanął nad nimi i w końcu zapalił papierosa.

— Są jeszcze inne, tam — rzucił aspirant i wskazał w przeciwnym kierunku, choć w ciemności niewiele było widać. Miejsce znajdowało się poza kręgiem światła latarni. — Mamy ślady traseologiczne. Marka jednych opon to na pewno Dunlop, całoroczne. Drugą jeszcze ustalamy.

— A łuski? — Kostrzewa spojrzął na grupę techników pracujących w pobliżu. Ulicą Armii Ludowej w obu kierunkach ciągnęły sznury samochodów. Na parking wjeżdżał właśnie wóz transmisyjny telewizji. Za godzinę popołudniowy szczyt się skończy. Ludzie wrócą do domów, włączą telewizory. O wpół do ósmej, przy kolacji, dowiedzą się, że w Mieście ktoś zastrzelił dyrektora pionu odszkodowań z ubezpieczalni Argos.

— Dwie. Kaliber sześć i trzydzieści pięć milimetrów. Broni nie ma. To była szybka robota. Nikt się tu nie wahał.

— Stróż? — Kostrzewa spojrzął w kierunku zaparkowanej przed wejściem do ubezpieczalni policyjnej furgonetki, do której wsiadł właśnie jeden z policjantów. Kawałek dalej, przy wyjeździe z firmowego parkingu Argosu, stał szary wóz techników z symbolem mikroskopu na drzwiach. Cała scenografia migotała w świetle kogutów furgonetki. Po drugiej stronie Armii Ludowej zbierała się mała grupka gapiów. Kolejni przechodnie przystawali,

przyglądali się pracującej ekipie, aż w końcu szli dalej. Mróz wygrywał z ciekawością.

— Twierdzi, że nic nie widział. Za to kilka razy potwarzał, że teraz go wypierdolą. Boi się — rzucił krótko Olbratowski.

— Z ubezpieczalni?

— Nie, pracuje w firmie ochroniarskiej. W Irbisie, zdaje się. Szefem jest tam Włodek Sekuła. — Aspirant w uśmiechu pokazał zęby. Duże, równe i białe jak śnieg.

— Pieprzony Włodek — warknął Kostrzewa. — Kiedy on poszedł na tę wcześniejszą? Pięć lat temu? Myślałem, że tylko ryby łowi — dodał z ironią, powoli idąc w stronę policyjnej suki.

— Biznes otworzył chyba rok temu. W lipcu podpisał umowę z Argosem. Ochronia też kilka banków i ratusz — powiedział aspirant-bokser Olbratowski. Obaj policjanci przystanęli przed samochodem. Kostrzewa ostatni raz się zaciągnął, rzucił peta na ziemię, wsmarował go podeszwą w śnieg i rozsunął drzwi furgonetki.

Włodzimierz Sekuła stwierdził, że nic nie wie. Kostrzewa mógłby jednak przysiąc, że były glina stracił rezon, gdy usłyszał, że jego pracownik to jak na razie jedyny świadek w sprawie jatki przed ubezpieczalnią. Gospodarz wbił plecy w głęboki skórzany fotel z wysokim oparciem. Na biało-czarny krajobraz, widoczny przez okno za Włodkiem, składały się trzy nagie jabłonie przykurczone na tle rozpadającej się szopy na węgiel. Płatki śniegu, choć już nie tak duże i ciężkie jak poprzedniego dnia, nadal niestrudzenie przysypywały świat.

— Ładnie się urządziłeś. — Kostrzewa strzepnęła popiół z papierosa do popielniczki reklamującej Oktoberfest. Spadł dokładnie między dwa kufle trzymane przez porcelitową *bardame*. Zdawała się mówić: „Danke”.

Między gospodarzem a gościem było jakieś ledwo uchwytnie podobieństwo. Zresztą obaj nieraz słyszeli, że „psa i bez munduru poznasz”. Wyglądali jak bracia, z których jeden przychodzi w odwiedziny do drugiego. Włódkowi od czasu, kiedy przeszedł na emeryturę, przybyło parę kilo, ale z jego nalanej twarzy świdrowały Kostrzewę wciąż te same nieufne, bystre i czujne oczy. No, może wąsy miał nieco dłuższe.

— Taa, moje królestwo. — Sekuła szeroko rozłożył ręce, rozpierając się w fotelu i rozglądając po pokoju. Biurko z wyprzedaży, ściany odświeżone, ale zdradzające lata użytkowania pawilonu przez innych gospodarzy. Do tego opracione w ramki licencja detektywa i pozwolenie na działalność ochroniarską wiszące w jednym rzędzie z kalendarzem. Styczeń sponsorowała wygrzewająca się na plaży czarnowłosa modelka topless. Biodra obmywały jej fale lazurowego morza.

— Od czegoś trzeba zacząć. W pewnym sensie podziwiam cię, bo w końcu ile można jeździć na ryby — rzucił Kostrzewa. Włodek zarechotał.

— Ty skurczybyku, wiesz, ile nerwów mnie kosztowała ta buda? Cholesterol mi podskoczył przez cały ten biznes. Lekarz mi zalecił jeżdżenie na ryby. Że niby stres, papierosy, lata służby, relaks potrzebny i inne takie bzdury. I jak myślisz, ile razy moczyłem kija przez ostatnie pięć lat?

— Ile razy? — Kostrzewa zaciągnął się. Żar papierosa sięgał już ustnika. Zdusił peta, patrząc w śmiejące się oczy dziewczyny z Bawarii.

— Raz. I tyle z tego było, że znalazłem naszego Witka. Takie to były ryby. — Włodek zmienił ton. Zniknął luz. Jakieś słowo zastygło mu na ustach okolonych rudawym wąsem. — Andrzej, wiem, do czego zmierzasz. Skoro siedzę już w tym biznesie, to mogę coś wiedzieć, tak?

Kostrzewa zmierzył kumpla wzrokiem. Na ułamek sekundy przemknęła mu myśl, czy na pewno obaj grają jeszcze w to samo. Glina to glina, nawet były, ale świat niesie zbyt wiele pokus, kiedy człowiek w końcu żegna się z mundurem. Kiedy jest się kryminalnym, poznaje się zbyt wielu ludzi. I zbyt wiele rachunków pozostaje nieuregulowanych, kiedy w końcu oddaje się odznakę.

— Daj spokój, nic nie wiem o tej sprawie. Tamto to był przypadek. A to, co stało się wczoraj, to inna bajka. Inna liga. I w ogóle gra o inną stawkę. Wielu jest graczy w tym Mieście.

— Kiedy przydzieliłeś tego faceta na portiernię w Argosie? — przeszedł do konkretów Kostrzewa.

— Do cholery, Andrzej! Jakie to ma znaczenie? Dam sobie rękę uciąć, że kiedy to się stało, ten konował ode mnie dłużej w nosie i gapił się na *Familiadę* w swoim małym telewizorku pod biurkiem. Mniejsza więc o to. Są jacyś świadkowie? Przechodnie? Ktokolwiek... Macie coś? — Włodek się ożywił. Obaj zdawali sobie sprawę, że rozmowa może się tak potoczyć. Sekuła wiedział to od chwili, kiedy w drzwiach ujrzał dawnego kumpla. — Czego właściwie ode mnie oczekujesz? Dobra, po starej

znajomości popytam na Mieście tych i owych, ale niczego nie obiecuję. Jeżeli się czegoś dowiem, odezwę się.

Rozległo się pukanie. Obite skórą drzwi uchyliła sekretarka Włodka. Przyniosła dwie kawy.

Komisarz Kostrzewa wiedział, że nie będzie łatwo. Ale jechał do Włodka z myślą, że nie ma innego wyjścia. Nie było tajemnicą, że firmy ochroniarskie to specyficzny biznes. To interesy równie często będące przykrywkami dla działalności przestępczej, co zakładane przez byłych gliniarzy. A czasem bywało, że to jedno i to samo. Stary, dobry Włodek jako policjant miał świetne ucho. Pozostawało liczyć na to, że wciąż je ma.

Agencja Sekuły mieściła się na osiedlu Ugory. Dwie przecznice dalej, w kierunku miejscowości Turnie, wyrastała ściana lasu. Kierowcę wyjeżdżającego z Miasta tą drogą w stronę Szczecina żegnały billboardy informujące o promocji na elektronikę w pierwszym hipermarkecie, który niedawno wyrósł w centrum. Kamienice powoli ustępowały miejsca szarym pudełkom peerelowskich domków jednorodzinnych. Miejscami nachylały się ku drodze wiejskie do niedawna chałupy, przeplatane bramami autokomisów, warsztatów wulkanizacyjnych, blacharskich i lakierniczych. Przed jednym z garaży wielki szyld oznajmiał: „Alternatory — Promocja”. Kostrzewa pomyślał, że Włodek musiał być niezłe zdeterminowany, skoro zdecydował się tu, w pawilonie po dawnej hurtowni, zrobić siedzibę agencji detektywistyczno-ochroniarskiej.

Wychodząc z budynku, poprawił kołnierz płaszcza i poszedł w kierunku swojej wysłużonej skóry. Śnieg

zdążył już pokryć dach i szyby, za to z rozgrzanej wcześniej maski spływały na zderzak strużki wody. Komisarz zostawił za sobą błotnistą, podziurawioną niczym księżyc kraterami ulicę Siedlecką i ruszył w stronę Miasta.

Na Mazurskiej rozpoczynał się właśnie popołudniowy szczyt. Ulicę spowijała siwa mgła z rur wydechowych. Sznury aut ciągnęły z centrum w kierunku osiedla Południowego i Rudzyna oraz podmiejskich miejscowości Dębina i Zapłotek. Škody, ople, polonezy i małe fiaty toczyły się z uporem, co chwila zatrzymując się na czerwonym świetle. Śnieg nadal padał, ale jego płatki nawet nie docierały do asfaltu. Wydawało się, że pochłania je siwa chmura gęstniejących spalin.

Kostrzewa mijał bure kamienice z ospowatymi, dziurawymi elewacjami, na których spod betonu przebijały nagie cegły. Przejechał pod wiaduktem, który po prawej przechodził w nasyp ciągnący się wzdłuż Czarnego Traktu, długiej wiejsko-miejskiej ulicy. Korek tężał, samochody przystawały. Po prawej wyrastał z ziemi szkielet biurowca. Mróz, który utrzymywał się od dwóch tygodni, wstrzymał budowę. Obok konstrukcji zwieńczonej rdzewiejącymi prętami zbrojeniowymi stała brudna betoniarka.

Chmura spalin gęstniała z każdym kilometrem w kierunku centrum. Ruch na rondzie Mazurskim właściwie zastygł. Przejazd zatarasował policyjny polonez na sygnale. Gliniarze w uchatkach rozmawiali z energicznie gestykulującym kierowcą białego kadeta. Obok na jednej nodze stał właściciel dużego fiata, który zdawał się kontemplować wygięte po zderzeniu drzwi auta. Jednocześnie

próbował rozprostowywać drugą nogę, masując udo tuż nad kolaniem. W końcu przewrócił się i usiadł na czerniejącej, szklistej zaspie.

Przed komendą przy Powstańców Śląskich stał z włączonym silnikiem wóz transmisyjny lokalnej TVP. Przed nim, ciepłem bijącym z otwartych drzwi auta, ogrzewał się dziennikarz. Biel koszuli wyzierającej spod jego płaszcza zdawała się rozświetlać otoczenie. Pałac, rozmawiał z mężczyzną w kurtce moro i podwiniętej na czoło czarnej kominiarce. Kostrzewa nie rozpoznał, czy facet w czapce to reporter „Kuriera”, czy „Gazety Miejskiej”. Obok stała grupka innych dziennikarzy prasowych i radiowych. Jeden z nich tak zagadał się z kolegą, że nieopacznie zszedł na ulicę. W ostatniej chwili cofnął się przed nadjeżdżającym autobusem. Taki tłumek przed komendą nie zdarzał się często.

Kostrzewa, przebijając się przez tę ciżbę, usłyszał strzępy rozmów. Wynikało z nich, że komendant na piętnastą trzydzieści zapowiedział konferencję prasową. I że już wpół do czwartej, a dalej każe ludziom stać na mrozie. Słyszał też padające co chwila nazwiska, pseudonimy i ksywy: Lewy, Baron, Mieciu, Czarek... Starszy reporter o pomarszczonej, zmęczonej twarzy, który jeszcze przed stanem wojennym zjadł zęby na sprawach kryminalnych, opisywanych przez siebie w „Gazecie Miejskiej”, mruknął pozbawionym emocji głosem, że nie takie rzeczy widywał. I że według niego sprawa jest gruba. Inni już wyrokowali, że to była egzekucja. Wysoki, szczupły reporter radiowy ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię — który dotąd jedynie, tupiąc w miejscu, żeby się rozgrzać, przysłuchiwał



się rozmowom starszych kolegów — zaśmiał się. I dorzucił swoje trzy grosze, stwierdzając, że w ciekawych czasach przyszło mu żyć.

Widać było, że to, co stało się poprzedniego dnia, rozpała wyobraźnię. Trudno było jedynie powiedzieć, czy tylko dziennikarzy, czy także umęczonych miejską codziennością mieszkańców.

W komendzie wrzało jak w ulu. Kostrzewa wszedł schodami na drugie piętro, mijając pędzących w górę i w dół policjantów. Zbiegająca młoda aspirantka najpierw go minęła, ale zaraz zawróciła i zdążyła zatrzymać.

— Panie komisarzy, pytał o pana szef. Czeką u siebie.

Korytarz na drugim piętrze przypominał sztab dowodzenia garnizonem w czasie jakiejś operacji wojennej. Ludzie chodzili w tę i z powrotem. Drzwi do pokoiów były pootwierane. Całe to szaleństwo działało się w rytm nakładających się na siebie dźwięków telefonów, klawiszy elektrycznych maszyn do pisania i telefaksów, które na przemian nadawały i wypluwały kolejne informacje. Inspektor Dubicki siedział u siebie za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Aparat ginął pod stertą papierów. Kiedy Kostrzewa nieśpiesznie wszedł do pokoju, przełożony przywitał go machnięciem ręki i dał znać, żeby usiadł w fotelu pod ścianą. Wkrótce zakończył rozmowę krótkim mruknięciem i trzasnął słuchawką o aparat, aż zatrzęsło się biurko.

— Andrzej, powiem krótko. Mamy kibel. Ale to teraz twój ból głowy. Mój tu nie wystarczy. Za krótki jestem na tę sprawę. Musimy mieć konkrety na teraz.

— Panie inspektorze... — zaczął Kostrzewa.

— Co macie? Bo chyba coś jest? Za piętnaście minut idę do starego. A on schodzi na dół do prasy. I nie chcę potem słuchać, że przeze mnie pismaki go zżarły i wyrzygały!

Dubicki próbował wygrzebać coś spod sterty papierów. Szarpał się przez moment, klnąc pod nosem. W końcu wyciągnął gazetę, którą przedtem przygniół telefonem. Rzucił ją na stos dokumentów. Niektóre posypały się na podłogę, przykrytą zniszczonym linoleum. Kostrzewa schylił się po nie. Potem spojrzął na dziennik. Z pierwszej strony gazety tłustą czcionką krzyczał tytuł: „Wojna gangów w Mieście”.

— Nie wiem, jak się z tego wygrzebiemy. Wielce prawdopodobne, że my też polegniemy w tej wojnie. W najlepszym wypadku skończymy jako ciecie albo konwojenci.

— Czekam na sekcję. Biegły balista ma określić trajektorię pocisku. Mamy łuski, mamy przynajmniej jednego świadka. Wygrzebiemy się — powiedział Kostrzewa, choć sam nie był co do tego przekonany.

Dubicki wbił w komisarza wzrok. Wyraz jego twarzy zdradzał, że nie wierzy w to, co właśnie usłyszał od szefa kryminalnych Komendy Wojewódzkiej. W końcu wstał, stanął przed Kostrzewą, oparty tyłem o biurko, i splótł ręce.

— Andrzej, może to będzie nasza ostatnia akcja. Może polecą nasze głowy. Zresztą nie tylko nasze. Ale jedno wiem na pewno. Nie na darmo jesteś szefem Wydziału Kryminalnego. Wiesz, ile zdrowia mnie kosztowało, żeby przekonać do ciebie starego. Chciał dać wydział Stanickiemu, temu półidiocie od papierkowej roboty. I gdyby nawet w tym przeklętym Mieście jeden gnojek od Lewego, Mietka czy Barona odstrzelił jaja drugiemu

z konkurencyjnego klubu, to byłoby to pół biedy — pod warunkiem że sprawę zabójstwa spaprałby Stanicki. Dlaczego? Jesteś inteligentnym facetem i wiesz, że „górze” czasem jest na rękę, kiedy jeden śmieć sprzątnie drugiego. Problem w tym, że życie niesie niespodzianki. I jedną z nich jest to, co stało się wczoraj przed ubezpieczalnią. Dopóki chłopcy tłukli się nawzajem, nikogo to nie dziwiło, ale sprawa tego dyrektora śmierdzi na kilometr. Nigdy jeszcze nie sprzątnięto u nas urzędnika. Potrzebuję cię, Andrzej. Bo widzisz... chodzi o to, że w tym zasranym Mieście jest tylko jeden człowiek, który może sprawić, że wyjdziemy z tego z podniesionym czołem. Ty jesteś tym człowiekiem. Tobie jednemu jeszcze tu ufam.

## ROZDZIAŁ II. ROK 1986

Tomasz Riehlke specjalnie na tę okazję pożyczył auto od teścia. Wysłuzony wartburg z trudem pokonywał wyboje, brnąc przez breję gruntowej drogi, która biegła przez rozległą polanę. W oddali, po lewej stronie, widać było skraj płytkiej doliny. Wyniesienie, które ją ograniczało od północnej strony, porośnięte było sosnami. Był to wielki polodowcowy wał rozcinający krajobraz.

Droga ginęła w lesie, ale ponad czubkami drzew już było widać ostatnie piętra punktowców Nowego Miasta. Okna odznaczały się na nich żółcią i ciepłą bielą światła. Bloki oświetlała luna zachodzącego słońca. W tym świetle domy przypominały jakiś odległy, spiętrzony masyw górski.

Zapatrzona w ten krajobraz Tamara, siedząca na miejscu pasażera, co rusz spoglądała na krętą ścieżkę, którą tylko ktoś bardzo uparty mógł nazwać drogą gruntową. Tomek chwilami zerkał na żonę i widział, jak w zamyszeniu wydyma krwistoczerwone wydatne wargi. Krótko przed zachodem wydawały się jeszcze bardziej odcinać na tle białej cery. Pomyślał, że chyba to właśnie te usta, wydatne kości policzkowe i duże oczy pociągały go w niej najmocniej. Ich spojrzenia się spotkały.

— Tu rzeczywiście żyją ludzie — powiedziała w końcu.

— A co? Myślałaś, że chcę was wywieźć na koniec świata?

— Tomek, to jest koniec świata.

— Przynajmniej dużo przyrody wokół. Zielono.

Tomek dobrze jednak wiedział, że tylko się z nim droczyła. Oboje czekali na ten moment latami. W końcu

otwierał się w ich życiu nowy rozdział. Wprowadzą się do nowego mieszkania.

— Tatuś, a do czyjego domu jedziemy? — odezwała się Natalka. Miała cztery lata, siedziała na tylnym siedzeniu wartburga i bawiła się (choć bardziej wyglądało to na pastwienie się) swoją lalką. Ta przypominała nieco młodą Jane Fondę, co Natalka często powtarzała — choć właściwie nie miała pojęcia, jak wygląda ta aktorka.

— Do naszego.

— Naszego? To będziemy mieszkać w lesie?

Rodzice wybuchnęli śmiechem. Tomek położył dłoń na rękę Tamary. Oboje spojrzeli na córkę. Rozglądała się po okolicy. Kiedy przejechali przez las, rozpostarł się przed nimi niemal surrealistyczny widok. Na gigantycznym karczowisku majestatycznie, niczym pradawny monolit, wyrastało blokowisko. Nawarstwione kaskadowo jak skały piaskowca. Potężna i upiornie szara betonowa bryła, marzenie dziesiątków tysięcy rodzin.

— Natalko, to jest właśnie nasz nowy dom.

— Ale tu brzydko.

— Zobaczysz, jak ładnie będzie wiosną. I las jest blisko. A pewnie pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? — zapytał ojciec.

— O piasku? — W głosie dziewczynki zabrzmiała nuta zapomnianej, a teraz niespodziewanie obudzonej nadziei. Natalka się rozpromieniła.

— Aha...

— Naprawdę?

— Tylko pamiętaj, o czym mówiliśmy. To będzie twój pies i kiedy podrośniesz, będziesz go sama wyprowadzała — dodała Tamara.

— Codziennie?!

— No pewnie, że codziennie — zgodził się ojciec.

Dwusuwowy silnik wartburga zakaszłał, autem zakołysało, szarpnęło i samochód zatrzymał się na zabłoconym placu. Stały tam maluchy, kilka syren, łada i turkusowa dacia z wielkim złotym orłem naklejonym na masce. W pewnej odległości od nich ktoś zaparkował żółtego golfa.

Bloki od sosnowego boru oddzielała droga okalająca osiedle. Łączyła się z drogą dojazdową do Miasta. Osiedle nazwano już nawet sypialnią Miasta. Jego budowa rozpoczęła się pod koniec rządów Gierka, ale większość bloków — w tym ten, w którym mieli zamieszkać Riehlkowie — ukończono tuż po zawieszeniu stanu wojennego. To było jedno z największych osiedli w Polsce, wskazywane jako koronny przykład na inwestycje zapoczątkowane w latach siedemdziesiątych, a realizowane z amerykańskiej pożyczki zaciągniętej przez władze PRL-u. Dla mieszkańców nie miało to jednak większego znaczenia. Liczyło się, że mieli gdzie mieszkać, nawet jeśli od centrum Miasta dzieliło ich piętnaście kilometrów, bo gigantyczne blokowisko postawiono niemal w środku lasu. Ważne były mieszkania. Własne cztery kąty. Wolne od teściów, rodziców, wujków i ciociek gnieźdzących się razem w kamienicach Śródmieścia. Jakie znaczenie miała więc odległość od centrum, skoro dawała perspektywę niezależności?

Poza tym nowe osiedle, tak nienaturalnie wyrastające z lasu porastającego dolinę rzeki, miało pewne atuty. Bloki z wielkiej płyty przylegały bowiem do starego Miasteczka. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na dziwny twór. Jakby w tajemniczym procesie urbanistycznego pączkowania

doszło do genetycznej aberracji i powstania komórki, której jeszcze przed dekadą żaden miejski „biolog” by się nie spodziewał. Było to dziwaczne zestawienie, ale miało pewien urok. Poza tym dzięki takiemu oderwaniu od Miasta mieszkańcy blokowiska nie byli zupełnie pozbawieni tożsamości. Co więcej, przeprowadzając się w tę okolicę, zyskiwali nową.

Ludzie ze starego Miasteczka — z malowniczo położonym niemal nad samą rzeką ryneczkiem, wianuszkami kamieniczek wokół niego i z kościołem — buntowali się przeciw temu, że wraz z powstaniem nowego osiedla z płyty Miasto wchłonęło w swoje granice także Miasteczko. Trochę więc z przekory, trochę z przymusu, a może też z ludzkiej potrzeby budowania sojuszy solidaryzowali się z „nowymi”, z mieszkańcami blokowiska. Ta nowa tożsamość znalazła nawet odzwierciedlenie w nazwie osiedla. Nowe Miasto.

Tomek wysiadł z auta i otworzył drzwi małej. Natałka niemal po kostki wpadła w błoto, więc chwycił ją za ręce i, okręciwszy jak na karuzeli, postawił na skrawku trawnika. Wyjął chusteczkę i wytarł zabrudzone buty dziewczynki. Następnie wyciągnął dłoń do Tamary, a ta mocno ją chwyciła, ostrożnie wysiadając z samochodu. Właściwie nie powinna razem z nimi przyjeżdżać. Była w ósmym miesiącu ciąży i dwa tygodnie wcześniej obudził ją w środku nocy mocny ból brzucha. Był tak silny, że nie zastanawiali się długo, czy wezwać pogotowie. Sąsiedzi z dołu jako jedyni w kamienicy mieli telefon, więc Tomasz natychmiast do nich pobiegł. Karetka przyjechała wyjątkowo szybko. W szpitalu okazało się, że dziecko najwyraźniej postanowiło już zmienić pozycję w łonie matki. Lekarz

zalecił, żeby Tamara przez najbliższe tygodnie nie wychodziła z domu.

Tomek podtrzymywał żonę za rękę, pomagając jej wydstać się z głębokiego żółtego błota. Uważnie na nią spozrzał.

— Wszystko w porządku? Jeśli chcesz, możemy przyjechać innym razem.

— To samo powiesz w komitecie partii, kiedy zapytają, czy obejrzelśmy mieszkanie? W żadnym wypadku. Pójdziemy tam, choćbym miała zacząć rodzić — zażartowała.

— Obyś nie wypowiedziała tego w złą godzinę!

— Gdzie jest numer trzydzieści dwa? Dobrze mówię? — spytała.

— Tak, dokładnie. Musimy chyba obejść blok dookoła, wejście jest, zdaje się, z drugiej strony. O, tam pod lasem! — Tomek wskazał kierunek i spozrzał na Tamarę. — A gdzie Natalia?

Jeszcze chwilę wcześniej biegała pod lasem tuż za drogą okalającą osiedle. Oboje zaczęli się nerwowo rozglądać i równocześnie wołać córkę:

— Natalia! Natalia?!

W oddali rozległa się syrena pociągu. Spozrzelili na siebie. Tamara skrzywiła się i złapała za brzuch. Mimo bólu pokazała Tomkowi ręką, że ma biec w stronę lasu. Mężczyzna, wołając córkę, rzucił się ku zarośłom. Odgarniał gałęzie niskich młodych dębów, które porastały brzeg boru. Cały czas się rozglądał, ale nadal nigdzie nie widział dziecka. Instynkt podpowiadał mu, żeby biec tam, gdzie przez drzewa prześwitywały ostatnie tego dnia promienie słońca.

— Natalia!

— Tato! Tatuusiu! — Usłyszał w końcu. Głos małej dobiegał gdzieś z prawej strony. Tomek nagle zdał sobie



sprawę, czym jest ten prześwit. W pobliżu osiedla przebiegała linia kolejowa. Biegając, zaczął kląć w myślach i wyrzucać sobie brak wyobraźni. Dlaczego o tym nie pamiętał, do jasnej cholery?! Dlaczego pozwolił, żeby Natalia zniknęła mu z oczu, kiedy wysiedli z samochodu? Jasne, że pomagał Tamarze. Ale to go nie usprawiedliwia.

— Taaato! — Tym razem w głosie Natalii zabrzmiała niepokojąca nuta. Tomasz usłyszał ją pierwszy raz w życiu.

Wypadł z zarośli, omal nie spadając z trzymetrowej skarpy. W ostatniej chwili chwycił się gałęzi sosny. Skarłowaciałej i reumatycznie powykręcanej. Wtedy zobaczył Natalię. Była na dole, na torach. Próbowwała się wdrapać na nasyp, ale jej stopy ślizgały się po rozmokłej gliniastej ziemi, więc stale osuwała się na podkłady kolejowe. Dziewczynka spróbowała się od nich odbić i złapać zwisających ze zbocza rzadkich kęp trawy. Znowu zabrzmiała syrena. Tym razem pociąg był bliżej. Tylko patrzeć, jak wypadnie zza zakrętu, który zaczynał się dwieście metrów dalej.

Tomek ześlizgnął się, uważając, żeby w trakcie tego zjazdu nie zaczepić o jakiś korzeń wystający z ziemi. Wylądował tuż obok dziecka. Zobaczył szeroko otwarte i załzawione oczy Natalii. Szybko ją podniósł i mocno przycisnął jej zimny policzek do swojego. Dwoma susami pokonał tory i znaleźli się po drugiej stronie, gdzie teren łagodnie opadał ku łągom nad rzeką. Obok nich przejechał rozpędzony pociąg. Pęd powietrza zmierzwił włosy córce i ojcu i osuszył łzy na ich policzkach. Kiedy w bezruchu patrzyli w tę rudą górę stali przesuwającą się przed ich oczami, na skarpie pojawiła się Tamara. Uklękała i płacząc, jedną ręką podtrzymywała brzuch, a drugą kurczowo trzymała się gałęzi karłowatej sosny.